

Uśmiechem pomaga oswoić śmierć

dodano: 5 maja 2012, 13:00

Autor: Beata Bielecka



Judyta Szewielińska znalazła sens życia w pomaganiu innym. Gdy opowiada o swoich podopiecznych z hospicjum jej oczy się cieszą. (fot. Beata Bielecka)

Są dni, że Judyta daje tylko dotyk. Bo w chorobie dotyk zastępuje często słowa. Mówi, że nie robi nic szczególnego. Dzieli się tylko swoim czasem z tymi, którzy już go nie mają.

Judyta jest wolontariuszką w Hospicjum domowym św. Wincentego a'Paulo, które drugi rok działa przy słubickiej parafii pw. NMP Królowej Polski. Ma 33 lata, dobrą pracę w straży granicznej, kochającego męża, dwóch udanych synów. Ale wie też, czym jest choroba i jak często wtedy człowiek czuje się samotny, jak potrzebuje żeby ktoś go wysłuchał.

Z chorym choruje cały dom

Kilka lat temu wpadła w głęboką depresję. 10-letni Kuba miał wtedy zaledwie trzy latka, a ona nagle przestała w ogóle reagować na otaczający świat. - To był czas, gdy leżałam plackiem w domu i nic nie istniało. Niektórzy nie rozumieli, że jestem po prostu chora. Mówili: - Weź się w garść - a te słowa przyprawiły mnie o gęsią skórę, bo czułam się całkowicie bezsilna. To są najgorsze słowa, jakie chory może usłyszeć. Miałam wtedy

wrażenie, że ci, którzy to mówią, w ogóle mnie nie słuchają. Gdyby nie mój mąż i teściowie, nie wiem jak bym sobie poradziła - opowiada.

Gdy dziś zastanawia się, skąd wzięła się jej choroba, myśli, że to przez sposób, w jaki kiedyś żyła. - Mój rodzinny dom był bardzo uporządkowany i zdyscyplinowany. Rodzice też pracowali w straży granicznej i wszystko wokół było zawsze tak bardzo poukładane - wspomina. Gdy już była mężatką narzuciła sobie wiele ról i w każdej chciała być perfekcyjna. - Nie położyłabym się spać, gdyby w zlewie została nie umyta szklanka, albo zostawiłabym nie wyprasowane rzeczy - mówi. W końcu jej psychika powiedziała "dość". Depresja zabrała wprawdzie wewnętrzny nakaz bycia perfekcyjną, ale i chęć życia w ogóle.

Ta choroba nauczyła ją wiele. Tego między innymi, że dziś bez problemu zasypia nawet wtedy, gdy w zlewie stoi sterta nie umytych szklanek, bo wie, że jest dużo ważniejszych spraw wokół niej. I nauczyła ją, jak ważne jest wysłuchanie tego, co ktoś ma do powiedzenia. Może i z tego wzięła się jej chęć pracy w hospicjum.

Miała być tylko jedną z kilkunastu osób potrzebnych do założenia stowarzyszenie, które miało prowadzić hospicjum. Najpierw zaangażował się w to jej mąż Przemek. Pomyślała wtedy, że nie chce jednak stać z boku, że jak on być przy łóżku chorego. Tam się widziała.

Czasami, gdy siada przy swoich podopiecznych, tylko słucha, trzymając ich za ręce. Bo dotyk zastępuje w chorobie słowa. Dobrze wie, jak ważne są też gesty, jak trzeba uważać, żeby ich nie przegapić. Jej podopieczni rzadko chcą rozmawiać o chorobach. Wolą wracać myślami do czasów, gdy byli młodzi, gdy czuli się szczęśliwi, gdy dla nikogo nie byli ciężarem. Bo chory dźwiga często nie tylko własną chorobę, ale też rozpacz bliskich i poczucie, że wraz z nim choruje cały dom.

Wolonariusze sa jak anioły

W słubickim hospicjum jest około 20 wolontariuszy. Pomagają chorym na raka w ostatnim stadium tej choroby. A także ich rodzinom. Przy łóżkach chorych Judyta spędza prawie każdy dzień. Ostatnio odwiedza panią Stefanię. - Gdy zdarzy się coś, że nie mogę do niej pójść, już jestem ciekawa, co u niej słychać, co chciałaby mi powiedzieć - opowiada. Pamięta wszystkich swoich podopiecznych. Pierwszym był pan Mieciu. Chodziła do niego ze swoją przyjaciółką Magdą, która wcześniej niż ona zaczęła działać w hospicjum i miała już pewne doświadczenie.

Przynajmniej, że trochę się obawiała, jak sobie poradzi, jak zostanie odebrana. - A pan Mieciu na mój widok uśmiechnął się i powiedział: - O, jaki piękny, młody człowiek do mnie przyszedł. Natychmiast wszystkie moje obawy gdzieś uleciały - opowiada. Przychodziła do niego przez ponad dwa miesiące. - Za każdym razem coraz bardziej zbliżaliśmy się do siebie. Te doświadczenia idą za mną do każdego nowego podopiecznego - mówi.

Przynajmniej, że na początku bała się, że w domach, do których będzie chodzić zobaczy tylko smutek i śmierć. A zobaczyła drugiego człowieka. Każdą z tych osób doskonale pamięta. I każda czegoś ją nauczyła. Chyba najwięcej starsza pani, która odchodząc była niesamowicie pogodzona ze śmiercią. Mówiła: - Wy nie przychodźcie do mnie, ale do mojego męża, bo on nade mną siedzi i smarka, a ja przecież odchodzę do lepszego świata.

- Była w tym odchodzeniu niewiarygodnie silna. To było bardzo mocne doświadczenie - mówi Judyta. Przyznaje, że widząc radość w oczach swoich podopiecznych czuje, że rosną jej skrzydła i dostaje niesamowitego powera do pracy. Ale nie wie, jakby się poczuła, gdyby przyszło jej być przy śmierci swojego podopiecznego. - Nigdy to mi się jeszcze nie zdarzyło. Może Bóg uznał, że nie jestem jeszcze na to gotowa? - zastanawia się.

Kiedyś mąż Judyty idąc do chorego chciał zabrać gitarę i radził się jej, co o tym myśli. - Daj sobie spokój. Przecież to cierpiący człowiek i jeszcze twojego plumkania ma słuchać?! - usłyszał wtedy od niej. Przemek miał nadzieję, że może w ten sposób oderwie go chociaż na chwilę od myślenia o chorobie. - I miał rację - wspomina Judyta. Starszy pan nie tylko słuchał piosenek, które grał mu jej mąż, ale nawet mrucał je sobie pod nosem, a czasami przy nich spokojnie zasypiał. I zawsze czekał na to granie.

- Każdemu hospicjum kojarzy się ze śmiercią, a nam chodzi o to, żeby w tych ostatnich dniach wprowadzić jeszcze życie do domów naszych podopiecznych - mówi Judyta. - I fajnie, gdy się to udaje. W tym dawaniu siebie jest zresztą głębszy sens - dodaje. To między innymi doskonała lekcja wychowania dla jej synów. Często z Przemkiem słyszą od Kubę i Stasia, że są z nich dumni. - To są słowa najbardziej bliskie sercu, bo chcemy uwrażliwić dzieci na potrzeby innych - mówi Judyta. Podoba jej się, że Kuba już teraz lubi otaczać się kolegami, o których wie, że w domu nie mają takiej opieki, jak on. - Czasami mam wrażenie, że czuje się za nich w jakiś sposób odpowiedzialny - opowiada.

W hospicjum są osoby w różnym wieku, różnych zawodów: przedsiębiorcy, nauczyciele, lekarze, pielęgniarki... - Nie każdy czuje się na siłach być przy łóżku chorego, dlatego niektórzy zajmują się rozwożeniem łóżek czy chodzików do domów, kolega prowadzi naszą stronę internetową, a jedna z pań po prostu się modli za naszych podopiecznych - mówi Judyta. I dodaje: - Lepimy to nasze hospicjum jak domek z plasteliny. Pomaga nam proboszcz, który dał stowarzyszeniu pomieszczenia, gdzie możemy trzymać sprzęt dla chorych i wszystko, co jest nam potrzebne do pracy. Pomagają ludzie, którzy dzwonią i pytają, czy nie przydałby się któremuś z naszych chorych chodzik czy łóżko, albo po prostu wpłacają pieniądze, żebyśmy mogli kupić nowy sprzęt - opowiada.

Ale ma też wrażenie, że niektórzy odbierają wolontariuszy jak dziwaków, odszczepieńców. - A my tylko chcemy pomóc. To takie dobre uczucie czuć się potrzebnym. Dlatego jestem pewna, że nie wpadłam tu na chwilę - mówi Judyta o swojej pracy w hospicjum. Tym bardziej, że takich miejsc nie ma wiele. W województwie raptem kilka. A kiedy lekarz rozkłada ręce i mówi, że nic już nie może zrobić, rodzina zostaje często sama. I wtedy wolontariusze z hospicjów są jak anioły, które przylatują do domów. Pomagają odejść w ciszy i oswoić śmierć...